Ner 33. **Kraków 1 października 1867.** **Rok II.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 151 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Nieżyczący sobie nadal prenumerować, zechcą niniejszy numer zwrócić.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

Ważność stowarzyszeń kobiet

PODŁUG WYKŁADU PANI

ULRYKI HENSHKE.

PRZEZ L.

(Dokończenie.)

„Jeżeli tylko o rozszerzenie zarobkowania kobietom chodzi", mówią przeciwnicy stowarzyszeń kobiet: „to mamy tak wiele rękodzieł i rzemiosł, rękom kobiecym przystępnych. Mamy zawód kupiecki, księgarstwo, zegarmistrzostwo itd. — niechaj więc każda sobie pozostawiona kobieta weźmie się do zajęcia, które zdolnościom jéj odpowiada: Kto chce być samodzielnym, niechaj sam pierwszy krok do samodzielności zrobi".

Jest to błędem! Wrodzona bowiem nieśmiałość natury kobiecéj nie pozwala jéj występywać pojedynczo, w odosobnieniu po za granice zwyczajne. Zmiana przygotowań w wychowaniu, i zmiana wyobrażeń ogółu muszą tutaj iść w parze i nawzajem sobie drogi torować. Uzdolnione kobiety potrafiły w każdym czasie wznieść się nad uprzedzenia tłumu i niepomyślność okoliczności i zajmowały miejsca, które ich skłonnościom odpowiadały, już to w sztuce, w umiejętności, albo nawet czynném braniem udziału w toku spraw publicznych. Ale zwyczajny bieg życia nie może być obliczonym na dusze wyższe. One idą swoim torem, nie zważając na drobnostkową miarę, którą je ograniczoność mierzy.

My pamiętajmy tylko o niezliczonych dziewczętach, które żyją bez podpory, bez pomocy, mając dobrą chęć i mierne zdolności.

Stowarzyszenia szlachetnych kobiet będą im podporą i pomocą. One powinny o ile możności zastąpić im rodzinę. W większych miastach wynikną z tych stowarzyszeń zakłady, w których młode dziewczęta przygotowywać się będą do nowych źródeł zarobkowania. W mniejszych powinny stowarzyszenia klientki swoje wspierać i oddawać pod opiekę obszerniejszych, gdyby do zakładów uczęszczać chciały. Pierwszém zaś zadaniem stowarzyszeń winno być wyszukanie dzielnych nauczycieli, iżby kilka dziewcząt razem uczyć się mogło u rękawiczników, zegarmistrzów, ogrodników itd.

Takim sposobem życie towarzyskie kobiet nietylko będzie celem własnego wykształcenia, będzie prócz tego mieć wielkie społeczne znaczenie. Życzliwe kobiety utorują opuszczonym dziewczętom drogę do ulepszenia istnienia i usuną c z y n e m wszelkie uprzedzenia, które samodzielności ich na przeszkodzie stają. A jeżeli jako żony i matki zadanie oświaty spełniamy wewnątrz naszego domu, to równie wielkiém będzie zadaniem, jeżeli poświęcimy nasze siły ułagodzeniu krzywd towarzyskich, któremi tak wielka część naszych sióstr jest dotkniętą. Dowiadując się z zimnych cyfr dowodów statystycznych o nędzy płci żeńskiéj, podajmy sobie w duchu ludzkości ręce, ażeby przyjść w pomoc naszym biednym, opuszczonym siostrom. To poświęcenie powinno być ofiarą dziękczynną, składaną przez każdą uszczęśliwioną kobietę na ołtarzu domowego ogniska.

Napominającemi słowy odzywa się do nas mąż, dla którego rodzina jest najświętszą podstawą życia moralnego: „Pojedyncze, osamotnione kobiety" mówi Riehl — „zgotują niejedną przykrą godzinę mężom stanu. Niezliczone kobiety pogrążone są w stanie, który się zupełnie towarzyskiemu proletariatowi równa. One n i e m a j ą p o w o ł a n i a, nie mają podpory, ani rodziny. Tyczy się to zarówno wszystkich warstw społeczeństwa. Z robienia pończoch i przędzenia najmniéj wymagająca kobieta żyć nie może. Tworzy się więc grupa cichego i nieśmiałego ubóstwa, któréj nędza na nowych, osobliwych podstawach spoczywa. Jęki tych kobiecych proletarjuszów nie są wygłoszone drukiem; nie robią zbiegowisk, nie budują barykad. Morzą się i giną w ciszy. Bóg tylko widzi ukryte ich cierpienia".

Bóg tylko widzi, ale i nam kochane siostry, jest to wiadome. Wysokie, czy nizkie stanowisko zajmujemy, każda z nas znajdzie w swoim kółku kobiety, które do tych cichych męczennic należą. — Tu widzimy starzejącą dziewczynę, która skromne zaledwie istnienie

z świetnéj przeszłości zapewnić sobie mogła. I nad jéj kolébką gracje się uśmiechały, ale wszystkie powabne ich dary znikły wraz z znikającą wiosną. Po złotéj poezyi młodości nastąpiły dnie burzliwe, zachmurzone. Bo to życie nie jest olimpijskiém, którém w błogich snach żyćby można.

Przybliżmy się do tych postaci, utworzmy im znośne istnienie, zanim ich siła żywotna się złamie. Pomyślmy jeszcze o smutnéj wdowie, otoczonéj dziećmi osieroconemi, których podporą jest o n a! O siostry moje' pamiętajmy, że w naszych ludzkich stosunkach nic nie ma trwałego; bardzo ograniczony umysł tylko może się czuć spokojnym, że głowa rodziny ma pieczę nad jéj członkami. Jakże długo to potrwa? Któż zaręczy? Trwałe i niezmienne są jedynie te dary, które Bóg w naszych sercach złożył. Kobieta nie przez Opatrzność na niemoc jest skazaną; sama się na nią skazuje, jeżeli zaniedbuje użyczonych zdolności.

A więc, moje siostry, podajmy sobie ręce do silnego związku! Wysłuchajmy głosu czasu, który nas do czynu woła. Samodzielność, do któréj w imieniu płci naszéj dążymy, nie będzie nigdy obyczajom i towarzystwu szkodliwą; owszem, ona im użyteczną się stanie, ona prawdziwy charakter kobiecy podniesie, podniesie wartość małżeńskiego pożycia, znikną obawy mężczyzn, przed przesadnemi wymaganiami dzisiejszych panien. Dziewczęta nie będąc już więcéj przykute jak do skały, do jedynéj nadziei: małżeństwa, mając otwarte i inne drogi do życia, staną się téż więcéj poszukiwanemi, więcéj pożądanemi dla mężczyzn; nie będą jedynie w y c z e k i w a ć — bo będą p r a c o w a ć; nie będzie im grozić z n u d z e n i e, owszem, będą się mogły i drożyć — a to wszystko życie rodzinne świeżemi powabami opromieni.

Każdy walczy i pasuje się o godne stanowisko — ulżyjmy téj walce przez p o ł ą c z e n i e się, ażeby wszystkie za jedną, a jedna za wszystkie odpowiadała. Nasz cel jest poważny i wzniosły: starajmy się, aby go rzetelną dopiąć pracą — dla błogosławieństwa naszego, dla błogosławieństwa naszych dzieci! dla ubezpieczenia przyszłości społeczeństwa.

KOBIETA.

I.

Aniele młodych snów, kobieto — w duszy twojéj
Miłości czarodziejska tai się skarbnica,
W uścisku twoim czar, co krwawe rany goi,
Połyskiem tęsknych gwiazd promienna twa źrenica.

Serce o twéj miłości w poranku życia roi,
Potém, gdy losu ciąży nad nami prawica,
Twój uśmiech sił dodaje, krzyk rozpaczy koi -
Nadzieją lepszych dni w wędrówce nam przyświeca.

Drogą życia usłaną w ciernie i zawody,
Ty idziesz z czołem jasném, jak promień pogody,
Chorego serca jęk ty słyszysz i rozumiesz.

Urokiem twéj pieszczoty, kobieto, aniele —
Rozjaśniasz mgłę żałobną co w sercu się ściele,
Białéj ręki dotknięciem z życiem godzić umiesz.

II.

Wyniosłych szczytów, kędy myśl dumna się zrywa
I upada bez siły — twoje serce sięga,
Bo w głębi śnieżnéj piersi jak kwiat się ukrywa
Zaparcia się cichego niebiańska potęga.

Wiary wonnemi kwiaty życia twego niwa
Lśni jasno, jako tęczy nieskalana wstęga —
Przebaczenia, poświęceń, miłości ogniwa
Serce twoje niewieście w jeden łańcuch sprzęga.

Ty kochasz, marząc cicho nad główką dziecięcia,
Kochasz, gdy padniesz drżąca w spragnione objęcia,
Gdy serce twoje bije w płomiennym uścisku....

I kochasz. kiedy śniegi przyprószą twe czoło,
Gdy wśród wnucząt, do ciebie cisnących się wkoło,
Modlitwę przy wieczornem odmawiasz ognisku.

Bohdan Rastawica.

Barbox Bracia.

(CHARLES DICKENS.)

— Cóż to za stacja konduktorze?
— *Mugby Junction* *) panie.
— Zdaje się, że wiatr wieje.
— Silny wiatr panie.
— Miejsce to smutno wygląda.
— Tak jest panie.
— Czy deszcz pada?
— Leje panie.
— Proszę drzwi otworzyć, ja tu wysiadam.

— Masz pan tylko trzy minuty czasu, rzekł konduktor, lśniący kroplami deszczu, spoglądając na wilgotny zegarek przy świetle latarni, gdy podróżny wysiadał.

— Sądzę, że więcéj będę miał czasu, gdyż tu zostaję. —

*) *Junction* są to stacje przy kolejach, gdzie kilka dróg się krzyżuje.

— Zdawało mi się, że pan masz bilet do dalszéj jazdy.

— Tak jest, lecz nie zrobię z niego użytku. Proszę o pakunek.

— Pójdź pan ze mną do wozu i wskaż mi pakunek — a bądź pan łaskaw ostro spojrzeć, bo nie mamy chwilki czasu do stracenia.

Konduktor pospieszył do wozu pakunkowego, a podróżny pospieszył za nim. Konduktor wszedł do wozu, a podróżny spojrzał po rzeczach.

— Owe dwa tłómoki w kącie, gdzie właśnie światło pada, są moje.

— Jakiż napis na nich?

— Barbox Bracia.

— Proszę się z miejsca usunąć. Jeden, dwa — wszystko w porządku.

Lampy mignęły — światła sygnałów już się zmieniły — lokomotywa gwiznęła — pociąg ruszył.

— *Mugby Junction*, rzekł podróżny, zwalniając obydwiema rękami szal wełniany, owiązany koło szyi, o trzeciéj godzinie burzliwego poranka! Tak!

Mówił sam do siebie, gdyż naokoło nie było nikogo, z kimby mógł pomówić, a może gdyby nawet znalazł się kto, do kogoby się mógł był odezwać, byłby wołał mówić sam do siebie. Mówiąc sam ze sobą, odzywał się do człowieka o pięć lat od pięćdziesiątki oddalonego, który zbyt szybko osiwiał, jak płomień zaniedbany od ludzi; był to człowiek poważnych zwyczajów, postawy myślącéj, głos miał przytłumiony, wewnętrzny, i nosił po sobie liczne ślady, że życie zwykł prowadzić samotne. Stał on długo na miejscu niespostrzeżony od nikogo, tylko od deszczu i wiatru. Ci dwaj czujni napastnicy zaczepili go czujnym napadem,

— Dobrze, rzekł, odwróciwszy się ulegając sile burzy, wszak mi wszystko jedno, w którą stronę odwracam twarz i krok.

I tak w *Mugby Junction* o trzeciéj godzinie burzliwego poranka podróżny poszedł w tę stronę, którą mu wiatr wskazał. Mógłby się był zastanowić lub postąpić daléj, zbliżywszy się do końca krytego dworca kolei, który bardzo był rozległy w *Mugby Junction*, lecz spojrzawszy się w ciemną noc i ciemniejszą jeszcze burzę, która skrzydłem swojém usiłowała przedrzeć sobie drogę śród rozhukanych żywiołów, odwrócił się, i postępując krokiem silnym i pewnym, przechadzał się tam i napowrót, nie szukając nikogo, a zatém znajdując, co szukał.

Cóż to za miejsce to *Mugby Junction*, przepełnione cieniami rozmaitych kształtów, w najciemniejszych godzinach z pomiędzy tych dwódziestu czterech, z których dzień się składa! Tajemnicze pociągi towarowe, czarno pokryte, posuwają się jak rozległy, czarnoksiężki pogrzeb, usuwając się jak winowajcy przed światłem kilku lamp, by ciężar swój skrycie i nieprawnie nabyty doprowadzić do celu. Półmilowe pociągi węglaprześladują je jak ajenci policyjni, postępując za nimi, zastanawiając się lub cofając zarówno z nimi. Czerwony gorący popiół sypie się na ziemię śród ciemnéj i oświetlonéj przestrzeni, jak ognie katownicze, podniecane od czasu do czasu; ucho podchwytuje jęczenie, stękanie i łoskot rozmaity, jak gdyby męczarnie katowanych dochodziły do najwyższego stopnia bólu. Daléj spostrzegamy olbrzymie klatki, kratą żelazną opatrzone, pełne bydła ryczącego śród drogi; spragnione zwierzęta mają rogi powiązane, oczy wyrażają przerażenie, a z pysków wiszą lub zdają się wisieć zamrożone krople lodu. — W powietrzu języki nieznane odbijają się w literach czerwonych, białych, zielonych. Trzęsienie ziemi połączone z hukiem i błyskawicą posuwa się ku Londynowi. A teraz wszystko spokojne — ponure, wiatr i deszcz wszystko zagarnęły — lampy gasną. — *Mugby Junction* obumarte i ciemne, zawdziało szatę nad głową jak ongi Cezar.

I obecnie, kiedy spóźniony podróżny chodził tam i napowrót, cień pociągu przeszedł mimo niegośród ciemności, lecz był to pociąg żywo wzięty z jego życia. Czyli z głębokiego zakrętu, czy z ciemnego tumultu myśli się wyśliznął na jaw, nie wiadomo. Przybył atoli niewołany, nieoznajmiony, ukradkiem, mignął się i zniknął śród zmroku.

Żałośnie przesunęło się było dziecko, które nigdy nie użyło dziecieństwa, nigdy nie znało krewnych; młodość jego, wiek dorosły, przepełniony był goryczą nierozłączną z tém uczuciem opuszczenia i bezimienności. Późniéj widzimy mężczyznę, którego najlepsze lata mijają śród pracy niesmacznéj i przygnębiającéj go, niewdzięczny przyjaciel zdradza go i pociąga za sobą kobietę, którą on niegdyś kochał. Liczne troski, smętne i gorzkie myśli, ciężkie bolesne zawody, i szereg jednostajnie i obojętnie upłynionych lat formowały ogniwa łańcucha, które otaczał byt samotny i nieszczęśliwy, życie bez radości i wdzięku.

— Czy to jest pańskie?

Podróżny oderwał wzrok zatopiony w próżni, ocknął się, i rzekł prawie przelękniony zapytaniem tak niespodziewaném, a może i tak trafnie w obecnéj chwili zastósowaném.

— O, myśli moje nie były tu w téj chwili. Te dwa tłómoki są moje. — Czy jesteście tragarzem?

— Nie panie, jestem Lamps.

Podróżny spojrzał cokolwiek zdziwiony.

— Coście powiedzieli? czém jesteście?

— Jestem Lamps panie, odrzekł, pokazując kawałek sukna przesiąknięty olejem, który trzymał w ręku, jak gdyby tenże miał służyć za dalsze objaśnienie.

— Tak, tak, czy tu jest dom zajezdny w pobliżu?

— Tu nie. Jest tu wprawdzie pokój dla podróżnych, gdzie się można pożywić, ale — Lamps spojrzał po-

ważnie i kiwnął głową w sposób, który wyraźnie zdawał się mówić — jest to traf arcyszczęśliwy dla pana, że pokój ten obecnie jest zamknięty.

— O ile mi się zdaje, tobyście mi go niekoniecznie mogli polecić!

— Panie, jestem służącym przy kolei, i jako taki nie mam prawa wydawać sąd o sprawach towarzystwa, wyjąwszy jedynie olej i knoty, rzekł Lamps w tonie poufałym, jednakowoż mówiąc jako prosty człowiek, nie radziłbym memu rodzonemu ojcu (gdyby zmartwychwstał), by spróbował, jak go tam poczęstują w tym pokoju gościnnym.

Podróżny kiwnął głową w sposób przyświadczający.

— Ja sądzę, że mogę w mieście stanąć, wszak tu jest miasto?

Podróżny bowiem, już kilka razy pędzony wiatrem pary po drodze żelaznej, minął był to miejsce, nigdy że tak powiem, nie wylądowawszy w niém.

— Jest miasto panie, i dość w niém miejsca, by znaleść schronienie, lecz, tu spojrzał po pakunku, teraz właśnie o tym czasie pusto u nas na kolei, pusto i głucho.

— Niema tragarza?

— Wszak pan widzisz, rzekł znowu Lamps poufale, oni znikają z gazem — tak się rzeczy mają — zdaje się, że oni pana nie spostrzegli, bo przechadzając się, poszedłeś pan na drugi koniec dworca — lecz za 12 minut pociąg pospieszny odchodzi do Londynu, a wtedy posługacze mający służbę, niezawodnie powrócą ze światłem gazu.

Za ten czas Lamps podróżnemu swój pokój ogrzany ofiarował za przytułek, jeżeli mu zapach oleju nie jest zbyt przykrym.

Podróżny zimnem przejęty, chętnie i bez namysłu na to przystał.

Była to mała, tłusta izdebka, zapach tłuszczu przypominał okręt trudniący się połowem wielorybów i wyrobem tranu, lecz jasny ogień palił się na kominku, na podłodze stał postument drewniany, a na nim świeżo przyprawione i zaświecone lampy, przeznaczone do wagonów. Wielka jasność od nich była, a światło i ciepło przemawiały na korzyść izdebki, służąc zarazem za świadków, wskazujących ślady aksamitnych spodni, odbijających się na ławce koło pieca, i mnogie ślady aksamitnych pleców opierających się w rozmaitym kierunku o ścianę przyległą. Na kilku brudnych pułkach stały lampy i konewczki z olejem, i leżał woniejący zbiór czegoś, co wyglądało jak chustki do nosa téj licznéj rodziny lamp.

Barbox bracia (tak nazwiemy podróżnego na rękojmię jego pakunku) zasiadł na ławce, ogrzewał ręce przy ogniu, zdjąwszy rękawiczki, spoglądał z boku na pulpit mały z miękkiego drzewa, mocno atramentem zbryzgany, którego się łokciem dotykał. Na tym pulpicie leżało kilka listków grubego papieru i stare stalowe pióro bardzo zużyte i brudne; spojrzał na te kilka listków papieru i obrócił się mimowolnie do swego gospodarza, mówiąc cokolwiek ostro:

— Jakto — wszak nie jesteście poetą człowieku?

Lamps zapewne nie był w niczém podobny do poety, stojąc tak pokornie, i pocierając płaski nos swój chustką do nosa tak nadzwyczajnie stłuszczoną, jak gdyby w téj chwili przez pomyłkę był uważał siebie za jedno z naczyń powierzonych swéj pieczy. Był to człowiek słuszny, tego samego wieku co Barbox bracia. rysy jego wszystkie dziwnie do góry były zwrócone, jak gdyby czuły pociąg niezwyciężony do korzeni jego włosów. Miał płeć szczególnie przeźroczystą i połyskującą, co zapewne poczęści zawdzięczał swojéj nieustannie olejnéj czynności, włosy jego magnetyczne, krótko strzyżone, były szpakowate, sterczały najeżone do góry, jak gdyby również przywabione niewidomą siłą magnetyczną znajdującą się ponad nim, tak, że szczyt głowy jego miał cokolwiek podobieństwa do knota lampy.

— Lecz cóż mnie to właściwie obchodzi, rzekł Barbox Bracia, była to niestósowna uwaga z mojéj strony. Bądźcie czém chcecie.

— Niektórzy ludzie panie, zauważył Lamps takim tonem, jak gdyby pragnął się uniewinnić, są czasem tém, czémby być nie chcieli.

— Któż o tém lepiéj przekonany jak ja, westchnął podróżny, wszak ja całe życie byłem tém, czém być nie chciałem.

— Kiedym zrazu zaczął komiczne śpiewki tworzyć, mówił daléj Lamps. —

Barbox Bracia spojrzał po nim z wyrazem wielkiego nieukontentowania.

— Tworzyć krótkie śpiewki komiczne, a co gorsza, śpiewać je potém, sprzeciwiało się to z gruntu mojéj naturze — rzeczywiście możesz pan temu wierzyć.

Tu kropla co nie była olejem, zabłysła w oczach Lampsa, a Barbox bracia cokolwiek zmięszany wzrok swój odwrócił, spojrzał w ogień i oparł nogę o kominek.

— Dla czegóż więc pisaliście? pytał po krótkiém milczeniu, dość jeszcze surowo, lecz tonem łagodniejszym. Po cóż się było przyniewalać do czego bez potrzeby? gdzieżeście śpiewali? w miejscu publiczném?

Na co Lamps dziwną dał odpowiedź:

— Śpiewałem przy łóżku.

W téj chwili, kiedy podróżny spojrzał na niego, żądając objaśnienia, *Mugby Junction* nagle się wzdrygnęło, silnie zadrżało i otworzyło swe oczy gazowe.

— Pociąg przybył — oznajmił Lamps, cały ożywiony.

Napis „Barbox Bracia“ białemi literami spoglądając z dwóch czarnych powierzchni nie długo potém

na wózku ręcznym posuwał się przez cichą ulicę, a właściciel tego napisu marznął pół godziny po bruku, zanim pukanie tragarza do wrót — wybiwszy najprzód ze snu całe miasteczko — zdołało nareszcie obudzić mieszkańców domu zajezdnego. Poczém podróżny domacał się wśród dusznego powietrza zamkniętego domu, aż do dusznego pokoju i spoczął nareszcie pomiędzy prześcieradłami łóżka.

(Ciąg dal. n.)

Germaine Staël.

(ŻYCIORYS.)

(Ciąg dalszy.)

W miarę jak czas postępuje zmienia się znaczenie i interes, jaki podobne dzieła obudzają — niemniéj jednak pozostają zawsze uznane jako trwałe i niepospolite. Ich wady nawet stają się rysami charakterystycznemi i nie są bez wdzięku, jako wyraz smaku pewnéj epoki, który ustąpił potém innemu, a którego z kolei równy los czeka. Książka ta ("Korynna"), którą pod wrażeniem utraty ojca we Włoszech układała, będzie zawsze poważną i zajmującą lekturą; jeżeli nie odkrywa prawdziwéj głębi tajemnic życia, to przynajmniéj nie ma tam nic, coby nie było szlachetném, pięknem i dobrém.

Książka o „Niemczech" wyszła w Londynie dopiero w r. 1813. W r. 1810 był już druk jéj w Paryżu na dokończeniu, ale wskutek nagłego rozkazu policyi spalono ją.

Dzisiaj, kiedy Niemcy więcéj są znane i pod wielu względami znacznie postąpiły. wydaje się ta książka niedostateczną i jakby powierzchowną. Jednak w żadnéj innéj nie znajdujemy tak żywego obrazu tego silnego rozbłysku niemieckiego geniuszu w epoce Goetego. Badając Niemcy, zastanawia się p. Staël obszernie i nad filozofią niemiecką. I tutaj należy zauważyć widoczne i wzrastające w niéj staranie o moralność w pismach. Książka według niéj jest moralną tylko wtedy, jeżeli służy do udoskonalenia duszy, geniusz powinien służyć tylko do objawienia najwyższéj dobroci duszy. Zwalcza ona stanowczo myśl samobójstwa. „Kiedy się jest bardzo młodym, kiedy jestestwo nasze jeszcze w niczém nie poczęło się psuć, wówczas grób wydaje się tylko marą poetyczną, snem, który otaczają postacie opłakujące nas klęcząc; ale inaczéj ma się rzecz, już w połowie życia, pojmujemy wtedy, dla czego to religja, ta umiejętność duszy, samobójstwu męką grozi". W onéj bolesnéj epoce w jéj życiu, o czém zaraz powiemy, nie wyprzysięga się ona entuzjazmu, owszem, sławi go pod koniec książki; lecz stara się umiarkować go w obliczu Boga. W r. 1810, wydała w Sztokholmie „Studjum o samobójstwie". Oznaki moralnéj, wewnętrznéj rewolucyi, którą przebyła, są tutaj jeszcze widoczniejsze.

Wielką była przykrość, jaką jéj sprawił wspomniany zakaz téj książki. Sześć lat studjów i nadziei zniszczonych, podwojone prześladowanie w chwili, gdy ona wypoczynku pragnęła i inne przeciwne okoliczności wywołały w niéj wówczas gwałtowną kryzys, chwilę przejścia, która ją bezpowrotnie wprowadziła w l a t a p o n u r e. Dotąd, nawet podczas burz łagodne promienie od czasu do czasu oświecały jéj czoło. Odtąd pozostaje tylko sława, zresztą wszystko zachmurza się. Najpierw ucieka młodość, ta wielka, łatwa, niewyczerpana pocieszycielka. P. Staël bala się w i e k u. Kiedy jéj pani Suard raz wspomniała: „trudna rada, zgodzisz się nareszcie i będziesz mieć bardzo przyjemną starość", ona zalała się łzami i wykrzyknęła tylko: „byłyśmy młode — niegdyś!" — bo to jedno słowo m ł o d o ś ć, miało dla niéj muzyczny czar, obejmowało cały świat; jéj się zdawało, że dopiero ten świat przeczuwać zaczyna, a on już minął. „O jakże często widzimy tę mękę (studjum o samobójstwie,) żyjącéj duszy w obumarłém ciele, są sobie nieprzyjaciołmi, a muszą żyć nierozdzielni. Cóż znaczy ten smutny prolog śmierci istnienie bez szczęścia, abdykacja codzienna, opadanie liścia po liściu z korony życia"?

Uczucie, które wówczas ku niéj powziął pan Rocca, powróciło jéj jeszcze pewną iluzją młodości; szukała chciwie w magiczném zwierciedle dwóch młodych, olśnionych oczu z a p r z e c z e n i a niepokojów i obaw swoich. Małżeństwo z p. Rocca, pokiereszowanym w wojnie, czułość, z jaką około niego chodziła, mająca źródło w wdzięczności dla niego, jéj własne zdrowie zachwiane, wszystko to skierowało ją obecnie do więcéj stałych, systematycznych obowiązków. Poszło zatem, że religja przenika odtąd nie tylko rozmowę, ale każdy krok jéj życia. Dawniéj, póki była młodszą i mniéj przygnębioną, wystarczyło jéj w pewnych godzinach smutku odwiedzić mogiłę ojca po drugiéj stronie parku, albo ożywić się przez jaką wzniosłą, mistyczną konserwacją z Benjaminem Constant, albo panem Momtmoerency; albo im daléj w życie, gdy poczęły wysychać źródła wewnętrznego oddziaływania przeciwko zewnętrznym wzrastającym cierpieniom, gdy wszystko więdnie i barwy traci, wtedy już chwilowe przemijające natchnienia nie wystarczają więcéj, potrzeba pokrzepienia silniejszego, stałego, potrzeba ożywczego źródła Ewangielii.

Nastał też dla niéj teraz czas nieznośny. Jednych z przyjaciół prześladowano z powodu niéj, inni usuwali się zasłaniając obawę pozornemi wymówkami. Wyobraźnia p. Staël rozgorączkowała się przywidzeniem, że w ślad za nią idzie jakaś fatalność, która zagraża wszystkiemu, co ją otacza. Zamknięta w Coppet i w błędném kole melancholii, chciała bądź co bądź wydostać

się na wolne powietrze. Książka „Dziesięć lat wygnania“, przedstawia przykrości tego położenia, z którego zwykłą drogą tylko suplika mogła ją wydobyć — czego znowu nigdy nie byłaby uczyniła. Widzimy ją w téj książce, badającą bezustannie kartę Europy, jakoby plan obszernego więzienia, z którego uciec pragnie.

(Dok. w n. nrze.)

„Odpuść nam jako i my odpuszczamy“.

(SZKIC POWIEŚCIOWY)

napisał ***Elpidon***

(Dokończenie).

X.

Kto zna czujność policyi Warszawskiéj, kto wie, jak liczni dozorcy rozstawieni gęsto po ulicach baczne rzucają oko na przechodniów i przejeżdżających — ten pojmie, że choć ucieczka tak dobrze się udała, niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Wieść o zamordowaniu komisarza szybko rozleciała się po ulicach i zelektryzowała organa policyjne; w każdéj chwili więc pierwszy lepszy dozorca mógł ich przytrzymać i aresztować. Wiele zależało na pośpiechu, a pospieszać zbytnie nie mogli, by nie zwrócić na siebie uwagi dozorców; nie mogli również obrać najkrótszéj drogi w obawie, aby jeżeli są ścigani, własnym śladem nie odkryli ajentom swojéj kryjówki. W najrozmaitszych więc kierunkach krążyła dorożka po Warszawie, zanim zbliżyła się napowrót do Marszałkowskiéj i skręciła w Chmielną. Zatrzymała się przed oparkanionym domem, do którego weszli staruszek i jego towarzysz. Dozorca stojący na rogu Marszałkowskiéj i Chmielnéj widział ich wysiadających; ale tego obawiać się niepotrzebowali — dozorca bowiem ów, lubo w służbie moskiewskiéj, należał do tajnéj organizacyi narodowéj. Tak więc mogli się uważać za ocalonych. Dorożkarz natychmiast po ich wyjściu zaciął konie, nawrócił ku kolei i stanął spokojnie na rogu alei Jerozolimskiéj: furtka na ulicy Chmielnéj zamknęła się i dwaj ścigani zniknęli bez śladu przed czujném okiem policyi. Nieznajomy wprowadził staruszka po ciemnych schodach na pierwsze piętro, do sklepionego pokoiku. Staruszek szedł za swoim przewodnikiem machinalnie jak lunatyk — blada twarz jego i sztywne oczy wyglądały jak gipsowa maska, na któréj przerażenie zastygło i znieruchomiało.

— Tu jesteśmy bezpieczni — rzekł przewodnik i puścił jego rękę; poszedł w kąt izby, by zmienić ubranie. Staruszek nie ruszył się wcale z miejsca, w którém go zostawił przewodnik — z ręką wyciągniętą, jak gdyby go jeszcze prowadzono, stał na środku pokoju, jak manekin.

— Zdejm pan to ubranie — trzeba je wyprać, są na niém ślady krwi — odezwał się znowu towarzysz, zbliżając się do staruszka.

Staruszek sztywne oczy zwrócił na ręce i począł dłoniami mazać po rękawie nieprzytomnie i cichym szeptem powtarzał jak dziecko:

— Są na nim krwi ślady — tak, tak, są na nim krwi ślady — jéj krwi.... Ręka jéj odcięta pełzła ku mnie i pisze krwią po podłodze jakieś straszne słowa. Patrz tam, czytaj — o! — Nie mogę czytać. —

Tu starzec począł przecierać oczy i z wysileniem wytrzeszczał je w stronę podłogi.

— Nie, nie mogę przeczytać, krew pisze i maże. Kto tam wie, co napisane? Może przekleństwo. Ale za co? za co?

Czoło starca pofałdowało się zmarszczkami, usta przedłużyły się — stulił ramionami i mówił daléj:

— Za co? To była moja ręka, moja własność. Tę rękę oddała mi przy ołtarzu — Nie, to nie ręka, to żmija, co kąsa. O! biegnie za mną — precz! precz! — zasłonił się rękami i począł nogą kopać, potém w przestrachu chwycił nieznajomego za ramiona i zawołał: uciekajmy!...

— Co panu jest? Przyjdź do siebie — mówił tenże, objąwszy starca w pół i usilując go uspokoić. — Co panu jest?

Starzec opamiętał się, spojrzał na wołającego, potém na około siebie, usiłował zebrać zmysły i pamięć. Ale równocześnie z powrotem przytomności nastąpiło osłabienie; starzeć bezsilny, bezwładny upadł na ręce towarzysza i szepnął: jestem śpiący.

Nieznajomy dociągnął go do łóżka, rozebrał i położył — a sam zajął się gorliwie zatarciem śladów, któreby ich zdradzić mogły. Wyprał ze krwi ubranie starca, swoje zaś wyniósł pod strych do jakiéjś schówki. Od czasu do czasu zaglądał na starca, czy nie potrzebuje jego pomocy. Już pociemniało na dworze, staruszek nie przebudził się jeszcze. Nieznajomy ubrał się, zapalił małą latarkę i zabierał się do wyjścia; pierwéj jednak zbliżył się do staruszka. Staruszek spał mocno, oddech jego był ciężki, ale równy, usta otwarte — a pot kroplisty świecił na twarzy. Nieznajomy postawił przy nim zapaloną świecę, napisał ołówkiem kilka słów na karteczce i wyszedł na miasto.

Jakież było jego zdumienie i przerażenie, kiedy w pierwszéj cukierni, do któréj wstąpił dowiedział się, że komisarz żyje. Uderzenia sztyletu nieprawną kierowane ręką pokaleczyły go tylko, nie zadając żadnéj szkodliwéj rany. Niebezpieczeństwo więc wróciło znowu i to powiększone; przypuścić bowiem należało, że policja poinformowana dokładnie przez komisarza, gotowa całą Warszawę przetrząsnąć, aby znaleść winnych. Gdzież więc ukryje starca na czas dłuższy? Przy zobostrzeniach ówczesnych ukrywanie podobne przez czas dłuższy było nie-

możliwém: potrzeba więc było coprędzéj wyprawić go z Warszawy. Nieznajomy przemyśliwał, w jakiby sposób przyprowadzić do skutku ten plan trudny i rezykowny. Niespokojny i pomięszany, wrócił do domu przed północą. Starzec spał jeszcze — resztki świecy dopalały się przy łóżku. Nieznajomy nie przerywał snu jego; zamknął drzwi starannie na klucz — opatrzył rewolwer, położył go na stole obok siebie i rzucił się na sofę na chwilowy spoczynek.

Następnego dnia wstawszy zdziwił się nieco, że staruszka ujrzał w téj saméj co wczoraj pozycyi śpiącego. Ten długi sen zaniepokoił go nieco, przystąpił do łóżka i wziął go za rękę. Puls bił silnie, pospiesznie. Nieznajomy potrząsł starca za rękę, a gdy to nie pomogło, powtórzył z większą siłą. Starzec podniósł niechętnie i ociężale powieki i spojrzał na budzącego.

— Wstań pan — rzekł gospodarz — spałeś bardzo długo.

Staruszek nie był w stanie trzymać dłużéj oczów otwartych, ciężki sen objął go znowu.

— Jesteśmy w niebezpieczeństwie — rzekł mu towarzysz do ucha alarmując go.

— Późniéj, późniéj — wyszeptał niezrozumiale staruszek — tylko.... się.... przespać.... mu....

Nie dokończył, machnął ręką i usnął.

Taki nienaturalny sen na serjo już zaniepokoił gospodarza; nie zważając więc na niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, ukazując się w dzień na ulicy, pobiegł po znajomego doktora. Opowiedział mu cały stan rzeczy, nie miał bowiem potrzeby taić się przed nim, gdyż ten równie należał do tajnego związku narodowego. Doktór po zbadaniu chorego uspokoił jego obawę, mówiąc, że sen ów jest właśnie zbawieniem dla starca, że prócz silnego osłabienia, innych skutków to mieć nie będzie; dlatego trzeba będzie chronić potém starca od wszelkich gwałtownych wzruszeń i wzmacniać jego siły stosownèm pożywieniem.

Trzy całe doby trwał ten ciężki, uporczywy sen starca; przez ten czas nieznajomy otaczał go prawie synowskiém staraniem, nie odstępując prawie od jego łóżka; a jeżeli zmuszony potrzebą wychodził na miasto, zostawiał zwykle kartkę przy łóżku chorego, aby tenże gdy się przebudzi, nie zostawał długo w niepewności, co się z nim dzieje i gdzie się znajduje. Trzeciego dnia kiedy nocą wrócił do mieszkania, zastał starca siedzącego już na łóżku; staruszek przeciągnął się, aż stawy wszystkie zachrupotały, potém zaspanemi oczami począł rozglądać się w koło siebie, wreszcie zwiesił głowę na piersi, wsparł się łokciem o łóżko i rzekł:

— Czuję się mocno słabym.

— To przejdzie. Doktór mnie uspokoił w tym względzie — ten długi sen ochronił cię od choroby.

— Czy ja długo spałem?

— Trzy dni i trzy noce.

— Trzy dni i trzy noce? Więc to już trzy dni minęły od téj chwili? Czy policja nie wpadła jeszcze na trop?

— I nie wpadnie wcale — komisarz nas nie wydał. Staruszek rozśmiał się ironicznie.

— O nieboszczyków byłem spokojny.

— On żyje.

— Co? — wrzasnął starzec, wlepiwszy w towarzysza wzrok niespokojny, obłąkany — on żyje?

— Żyje; ale nie masz potrzeby obawiać się go — on nasz. Zamach na jego życie dokonany wśród dnia, przy takich ostrożnościach, jakiemi się otaczał, przeraził go i poddał pod rozkazy naszego rządu. Dziś jest jednym z najużyteczniejszych naszych członków; przez niego jesteśmy uprzedzani o aresztowaniach, jakie mają nastąpić, o tajemnicach cytadeli.

Starzec długo nie mógł wyjść z osłupienia, stał jak człowiek, któremu piorun upadł przed nogami — słowa nieznajomego złowrogo brzęczały mu w uszach. On własne życie postawił na kartę, by się zemścić na wrogu swoim — w kilku godzinach przeszedł całe piekło udręczeń, śmiertelnéj obawy, aby tylko zadość uczynić pragnieniom swoim — a tu nagle dowiaduje się, że ten człowiek żyje. Nie chciał temu uwierzyć.

— Wy mnie zwodzicie — rzekł nieprzytomnie.

— Jakiżbym miał w tém cel? Patrz, jeżeli znasz jego pismo, to czytaj. Tu jest jego wyznanie, w którém żałuje swych przewinień i oddaje się nam cały.

— I zdradzi was, jak mnie zdradził.

— Niepodobna. Każde doniesienie podpisuje własném nazwiskiem, ten warunek położono mu, aby się zabezpieczyć od jego zdrady i mieć broń przeciw niemu.

Staruszek chwycił namiętnie papier, spojrzał — potém zacisnął go w rękach, zmiął i z zaciekłością rzucił pod nogi nieznajomego.

— Pan zdajesz niezadowolniony, żeśmy naszém poświęceniem pozyskali sprawie tak użytecznego człowieka?

Staruszek rozśmiał się gorzko, ironicznie.

— Ja się mam cieszyć? ja? ja? — Ten człowiek wydarł mi, co miałem najdroższego w życiu, zburzył mi i zdeptał całe moje szczęście, odjął mi wiarę w przyjaźń, w miłość i ja się mam cieszyć, że ten człowiek nie skonał pod moim sztyletem, że jest ocalony?

— Nie byłbym współuczestniczył z panem w tym zamachu, gdybym był wiedział, że takie pobudki skłaniały pana do tego — rzekł chmurnie nieznajomy. Ja sądziłem, że miłość ojczyzny, że chęć oswobodzenia rodaków od prześladowań tego człowieka, skłoniła pana do tego czynu — a to była tylko zemsta, proste morderstwo.

Starzec niespodziewał się takich słów od młodego człowieka, uczuł się niemi upokorzony, zawstydzony — spuścił oczy ku ziemi i długo nie wiedział, co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie — wreszcie się odezwał nieśmiało:

— A cóż was skłoniło do otwartéj i skrytéj walki z wrogiem, jeżeli nie zemsta? Mścicie się za ucisk tylu lat, za straszne pogrzeby, jakie wam Moskwa wyprawia na wałach cytadeli — za tłumy pędzone w sybirskie śniegi — a ja, ja mszczę się za siebie — i w tém cała różnica.

— Gdy tak było — odrzekł nieznajomy uroczyście, spokojnie — wtedy trzebaby załamać ręce z rozpaczy nad Polską, że na ofiarę takiemu niechrześciańskiemu uczuciu rzuca tyle tysięcy ludzi. Nie, nie podnieśliśmy oręża, aby się mścić za przeszłość, ale aby sobie wywalczyć wolność na przyszłość. Wina to wieku, społeczeństwa, że idziemy do téj wolności przez krew, chwytając z kolei za kosę lub sztylet: ale nie mogło być inaczéj; samą siłą ducha nie złamiesz bagneta, co twojéj piersi grozi — na takie zwycięztwa jeszcze nie czas, duch jeszcze za słaby. Wiara w taką moc duchową kosztowała nas już tysiące ofiar — bezowocnie więc zmieniliśmy broń — zamiast pieśni Tyrteuszowych porwaliśmy za maczugę Herkulesa, by z gadów oczyścić drogę, którą ma przyjść nasza wolność. Ta wielka idea, za którą walczymy, uświęca nas. Bez téj idei czémże byłbym ja, broczący ręce w krwi mego bliźniego? Zbrodniarzem, skrytobójcą — z nią jestem tylko wykonawcą sprawiedliwości. Spełniam wyrok trybunałów narodowych, uprawnionych jak każdy inny — spełniam go bez nienawiści i zemsty i chętnie podam dłoń temu, przeciw któremu niosłem ostrze sztyletu, jeżeli z wroga stanie mi się bratem. Wszak i pan to samo uczynisz, nieprawda?

To mówiąc przystąpił do staruszka, uścisnął go serdecznie za rękę i patrzał z miłością w jego oczy, czekając na odpowiedź. Staruszek pod wrażeniem słów jego stał jakiś czas zamyślony — chwilowo wzruszenie znać było na jego pomarszczonéj twarzy; prędko jednak otrząsł się z pod tego wrażenia, wyrwał z pośpiechem dłoń swoją z ręki nieznajomego i rzekł prędko:

— Nigdy — nigdy.

Nieznajomy utopił w niego oczy z politowaniem i milczał. To milczenie zakłopotało starca, czuł potrzebę usprawiedliwienia się:

— Ty nie wiesz mój młody człowieku, przez jakie okropne cierpienia dobiłem się do téj wczesnéj starości, w jakich boleściach posiwiały moje włosy, ile łez było potrzeba, zanim te oczy zbladły, zanim serce nienawidzić poczęło. Ze wszystkich uczuć, jakie otaczały moją miłość, nie zostało nic, prócz téj nienawiści. Ona była jedynym towarzyszem samotnika, jedyną pociechą moją. Tobie dziwno może, że można tak pokochać nienawiść — a jednak tak jest. Gdym sobie nieraz pomyślał, ile ludzie złego mi uczynili, to jedynie to sprawiało mi ulgę, że ich nienawidzę; potęgowałem tę nienawiść w sobie i przywiązałem się do niéj. I ty teraz chcesz, by to uczucie, co wypełniało moje życie, co mi było jedynym druchem, pocieszycielem, bym to uczucie wygnał od siebie? Starość nie pozbywa się swych przywyknień bez ofiary.

— Tém większa zasługa, jeżeli się pozbywa ich z ofiarą. Tylu ludzi poświęca dziś dla sprawy swój majątek, swoje życie, szczęście domowe — a tobie trudno poświęcić nienawiść? trudno przebaczyć temu, który teraz zaprzągł się z nami do wspólnéj pracy.

— Jemu przebaczyć? nigdy, nigdy — rzekł zacięty staruszek. Jeżeli on z wami, to ja....

— Przeciwko wam — dokończył z pół-uśmiechem pobłażliwym nieznajomy. Staruszek się opamiętał.

— To ja — dokończył — nie przeciwko wam, ale i nie z wami. Bądź pan zdrów.

To rzekłszy staruszek wstał i z pośpiechem zaczął się ubierać.

— Gdzie panu tak spieszno, zostań przynajmniéj, aż się dzień zrobi — rzekł ze słodyczą i łagodnością nieznajomy. Rad nie rad musisz pan choć do rana być z nami, być moim przyjacielem.

— Dla pana jestem nim zawsze — rzekł staruszek wzruszony i podał dłoń towarzyszowi.

Ten trzymał długo podaną prawicę, patrzał w twarz starca i rzekł:

— Pan nie jesteś tak zimny, jakim się chcesz wydawać.

Staruszek wysunął prędko dłoń swoją i nie patrząc mu w oczy rzekł:

— Nie mówmy o tém.

Nastała chwila długiego, przykrego milczenia — nieznajomy wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, potém zatrzymując się przed starcem odezwał się:

— Pan chcesz być moim przyjacielem? Więc jako przyjaciela proszę o jednę posługę. Życie moje niepewne, wśród ciągłych niebezpieczeństw, na jakie potrzeba się narażać, mogę się łatwo spodziewać, że lada chwila zmienię tę cichą kryjówkę na kazamaty cytadeli, lub co gorszego jeszcze — a nie chciałbym, żeby wtedy jedna rodzina została bez opieki. Czy nie będzie ci za ciężki ten trud?

— Któż jest ta rodzina? spytał staruszek, który spętany dobrocią gospodarza, nie był w stanie być dla niego takim, jakim był dla innych.

— Jest to młoda kobieta z dzieckiem, mieszkają na Tamce — dam ci ich adres. Jeżeli się dowiesz, że mnie pochwycono, zajmij się losem téj kobiety, bo jest w nędzy. Trzeba jednak, abyś tego dopełniał z całą delikatnością, aby się nie domyśliła, że to wsparcie,

dziejki. Ciekawość mnie wzięła przypatrzyć im się i naocznie przekonać, czy wyobrażenie, jakie sobie o tych paniach zrobiłem na noclegu, zgodzi się z rzeczywistością. Co do cioci nie omyliłem się ani na włosek: była chuda, wyróżowana, upstrzona muszkami, wyglądała jak starożytna gotycka figurka odnawiana przez wiejskiego malarza; tylko co do panienki musiałem zrobić maleńką poprawkę we włosach — nie była blondynką, ale szatynką (odtąd zaczynam i szatynki posądzać o poetyczność). Z pod dużych skrzydeł słomianego kapelusika błyskały uśmiechające oczy — cała twarzyczka była w cieniu, tylko koniuszek bródki drasnęło złote słońce. Długa woalka otulała jéj szyjkę i gubiła się w fałdach białéj beduiny, z pod któréj wyglądała sukienka w ciemne paseczki. W rączkach trzymała kij podróżny. Naprzeciw tych pań siedziało coś, co mi przypominało wystawy sklepów galanteryjnych, brakowało tylko szyby szklannéj, aby złudzenie było zupełne. Wisiały tam i szkiełka na szerokiéj taśmie i kapelusz panama i szal szkocki i angielskie wysokie kołnierze i torebeczki i rękawiczki, co razem z wymokłą twarzą o poczernionych wąsikach tworzyło kuzynka tych pań.

Szczęśliwy przypadek, tj. mocne nachylenie się wózka, ułatwiło mi znajomość z temi paniami, podbiegłem z pomocą, z jaką tonący chwyta się nadrzecznych zarośli. Niestety była to ciocia. Gdy niebezpieczeństwo minęło — zawstydziła się jak czternastoletnia panienka i poczęła mnie przepraszać za swoją śmiałość. Nastąpiły podziękowania, które musiałem odpłacać zwykłemi: „nie ma za co, za mało pani dobrodziejko“ itd. — W końcu ośmieliłem się zaproponować tym paniom, aby nienarażając się na powtórne wywroty po nierównéj drodze, przebyły ją pieszo. Propozycją moją przyjęto, weszliśmy więc razem w wąwóz i wkrótce ja i moi koledzy poznajomiliśmy się z temi paniami. Koledzy poszli przodem niby przewodnicy — panienka wzięła pod rękę galanteryjną wystawę — a mnie dostała się ciocia. Wsparta na mojém ramieniu z lornetką przy oczach, ciągłemi wykrzykami afiszowała swój zachwyt, zarzucała mnie pytaniami, na które odpowiadałem roztargniony; byłem bowiem ciągle zajęty myślą, przejścia z wieków starożytnych do nowoczesnych, czyli jak pozbyć się cioci, a zbliżyć do nadobnéj szatynki.

(Ciąg dal. n.)

Z PRZYRODY.

(Dokończenie.)

Wspominaliśmy już niejednokrotnie, że postać roślinności jakiegoś miejsca jest ostatecznie wypadkiem naturalnych jego własności i zależy od mniejszego, lub większego zasobu światła, ciepła, wilgoci i od rodzaju gleby. Zasób wilgoci najważniejszą pomiędzy temi czynnikami gra rolę, a głównem jéj źródłem jest woda, spadająca z powietrza w postaci deszczu, (śniegu, lub gradu i rosy). W okolicach płaskich, lub bardzo mało pochyłych, woda deszczowa spadłszy na ziemię, wsiąka w nią do pewnéj głębokości i jako taka spożywaną bywa przez rośliny. W okolicach górzystych spływa woda przeważnie po pochyłych spadzistościach i wsiąka w ziemię w ilości tak miernéj, że zasób jéj dostateczny do wyżywienia chudéj łąki, albo pastwiska, nie wystarczyłby nigdy do wyżywienia téj olbrzymiéj masy roślinności, jaką napotykamy w lasach okolic górzystych — gdyby przyroda innego skuteczniejszego nie obmyśliła środka. Żywienie tych lasów poruczyła ona roślinkom tak niepozornym, i na pierwszy rzut oka mało znaczącym, jak mchy. One to wciągają w siebie z nadzwyczajną chciwością wodę, spadającą z deszczem, przechowują przez długi przeciąg czasu i oddają w mniejszych dawkach ziemi, na któréj rosną. W braku deszczu czerpią wilgoć swą z powietrza, zgęszczając i skraplając parę wodną, jaką to powietrze bywa przesycone i chronią w ten sposób lasy przed zgubném działaniem posuchy. Zasób wody w ten sposób powstającéj jest tak wielki, że nie tylko wystarcza do wyżywienia drzew leśnych, ale zbyteczna spływa jeszcze w postaci małych strumyków, dając początek wielkiéj liczbie źródeł, jakie wszędzie w okolicach górzystych napotykamy. Mchy tych okolic nie tylko odgrywają tak ważną rolę w odżywianiu tych lasów, ale starają się także o ich odnowę. Nasiona leśne upadłszy na nagą, niedość wilgotną ziemię, wyginęłyby w większéj części dla braku pożywienia; tymczasem gęsty trawnik mchów przyjmuje je na łono swoje, zaopatruje obficie żywnością i wyprowadza z nich młode pokolenie, co ma zastąpić w przyszłości powalone wiekiem olbrzymy leśne.

Mówiąc o znaczeniu lasów w okolicach górzystych, nie możemy pominąć nader ważnéj roli, jaką (chociaż niebezpośrednio) odgrywa pod innym jeszcze względem gęsty trawnik mchów, pokrywający glebę tych lasów. Wspomnieliśmy już, że w okolicach płaskich, niezbyt pochyłych, woda spadająca z deszczem, wsiąka pod powierzchnię ziemi, tworząc zasoby zwanéj wody zaskórnéj; gdzie w skutek nieprzenikliwości ziemi, wsiąkanie to jest utrudnioném, woda gromadzi się na jéj powierzchni. Zupełnie odmienny stosunek napotykamy w okolicach górzystych; woda spływa tutaj po spadzistościach ziemi z szybkością i siłą, które zależą od mniejszego lub większego nachylenia miejscowości. Powstające w ten sposób potoki, mogą niekiedy rozwinąć zgubne dla całéj okolicy działanie: rozrywają glebę, zabierają ze sobą ogromne masy ziemi, zwiru i kamieni, unosząc je w doliny, wyrzucają na łąki, lub grunta uprawne i niweczą takie w jednéj chwili. Do-

świadczenie przekonywa nas, że wypadki takowe powtarzają się przedewszystkiem w okolicach górzystych, ubogich w lasy, i że wielki zasób tychże powstrzymuje niszczące działanie potoków, jakie tutaj w czasie ulewnych deszczy powstawać zwykły. Dobroczynny ten wpływ lasów wypada przedewszystkiem przypisać wielkiemu bogactwu mchów, które nietylko wpływają na umocnienie zewnętrznych pokładów ziemi, ale i gwałtownie spadającą wodę przyjmują w siebie i powoli w sposób nieszkodliwy wydzielają. Gdzie góry z litych i na działanie wody niezbyt czułych skał się składają umacnianie gleby przez mchy dość podrzędną gra rolę; tém donioślejszą jest ta ich czynność w okolicach, gdzie pokłady glebę tworzące niedostateczną tylko spójnością się odznaczają. Obecność lasów jest prawdziwém dla nich dobrodziejstwem i znane są wypadki, gdzie nierozważne onych wytrzebienie w ciągu lat kilkunastu żyzną i piękną poprzednio okolicę w pustkowie zamieniło. Takiemu losowi uległa wieś Meyringen w Szwajcaryi; miejscowy potok tamtejszy unosił po każdym ulewnym deszczu olbrzymie masy zwiru i kamieni, a wyrzucając je na brzegi, groził spustoszeniem całéj okolicy. Ażeby temu zapobiedz, wybudowano z wielkim nakładem głęboki kanał, który zwiry i kamienie miał unosić do rzeki Aar; myśl ta okazała się praktyczną, atoli po kilku latach zwiry nagromadziły się przy ujściu kanału w tak wielkiéj obfitości, że zatkały jego łożysko, zmusiły wodę do wystąpienia na pola sąsiednie i zamieniły je w nieużyteczne moczary i bagniska. Podobnemu losowi uległo kilka wsi Prowencyi, a jedynym tego powodem według świadectwa pana Blanqui było, nierozważne wytępienie lasów w téjże okolicy. *Dr. R.*

Wystawa powszechna.

V.

Następują z kolei galerje ubiorów, ruchomości, czyli w ogóle właściwa wystawa wyrobów wszelakiego przemysłu, tak surowego jak i zastósowanego do potrzeb i do sztuk. Przy obejrzeniu ogólném giną wobec Francyi wszystkie inne kraje — przyczyną tego jest, oprócz obfitości przedmiotów, szczególny wdzięk w ułożeniu, w ustawieniu, ta umiejętność pochwalenia się ze wszystkiem, którą posiadają Francuzi. Nawet fraszki, drobiazgi umieją podać w takim kształcie, że najobojętniejszy widz z upodobaniem przyglądać się będzie; przy wyrobach zaś większych rozmiarów umieją zaimponować zarówno pożytkiem, jak i pięknością wykończenia. Tak np.: ze wstążek porobią sztandary, albo z różnokolorowych kłębków ustawią całe świątynie; z mydła i świec porobią olbrzymie piramidy; zastawy, gotowalnie, klejnoty, całe garnitury pokażą w otoczeniu mebli, draperyj w jednym guście; słowem, na wszystkiém wycisną piętno wykształconego, artystycznego smaku; do tego jeszcze rozdają co krok ogłoszenia, objaśnienia, illustracje; w ogóle reklam takie mnóstwo, że ktoby chciał, mógłby codzień do domu kilka funtów papieru przynieść. Tę właściwą Francuzom umiejętność a r a n ż o w a n i a można dopiero ocenić, porównując ich wystawę z innemi krajami. Szczególniéj austrjacka wystawa odznacza się brakiem wszelkiego gustu; dość powiedzieć, że państwo dzierżące największe kopalnie soli, pokazuje krzyształy wielickiéj soli w małéj szafeczce; gdy tymczasem Prusy ustawiły ogromną, sklepioną grotę z bloków solnych, a dopiero w niéj szczegółowe kopalniane okazy.

Przejdźmy teraz, niezatrzymując się koło surowych płodów francuzkich, między któremi są dęby, mające do dwustu lat, bryła srebra wartości 135,000 fr., zbiory wszelkich płodów rolniczych, górniczych, morskich... a wstąpmy do sal, gdzie nam się odsłania najpierw w całéj okazałości zbytek kobiet — a następnie k o m f o r t z wszelkiemi najwybredniejszemi wymaganiami. Galerje te sprawiają najsilniejsze wrażenie na każdym małżonku. Bo oto porozwieszane majestatyczne toalety, połyskujące mory, ciężkie mantele, szale haftowane, wszelkie stroje balowe, a wszystko ułożone do figury; chmury koronek, pereł, rosy. Kostiumy na maszkarady, ubiory podróżne, wachlarze, rękawiczki, szmizetki, krynoliny. Słychać tu naokoło wykrzyki podziwu, albo ciche, a pożądliwe westchnienia; a wystawcy co chwila nowe wywieszają okazy. Są tu zadziwiające wyroby, najdelikatniejsze materje, okryte kwieciem przejrzystém, cieniowaném, albo szamerowane złotem, tkaniny jedwabne; a cóż dopiero wyroby lniane, płótna, batysty, obrusy w desenie, przedstawiające slawne obrazy, atlasy, aksamity, adamaszki miękkie jak puch, a grube jak skóra — a trzewiczki, parasolki, mufki — a te suknie tkane z łabędziego pierza — a te kwiaty, którym trzeba dać napis, że są r o b i o n e.... wszystko to armije najeźdźców na szlachecką kieszeń.

Jest to jeden z przesądów panujących u nas, że teraz nie wyrabiają materyj tak trwałych, jak dawniéj. Jest wiele wyrobów, które obok ładnego pozoru prędko się psują, ale też zato są tanie i dla każdego przystępne — z drugiéj zaś strony można odeprzeć ów przesąd choćby tylko piramidami nieprzemakalnego sukna. Ale zbliżamy się do niebezpieczeństw jeszcze groźniejszych. Oto państwa djamentu i szmaragdu — opalu, szafiru i ametystu, pereł i korali. Kamienie te wydarto z głębi ziemi, te perly, z głębi Oceanu — złoto, w które są oprawne, z gór Australii, lub Ameryki — całe to bogactwo świadczy o niezmordowanych wędrówkach człowieka i nieustannéj wymianie płodów pomiędzy naro-

dami. Wchodząc do téj części wystawy zdaje się, że się jest wpośród słońc i gwiazd, które ognistemi promieniami sieją — oczy patrzących są magnetycznie ujarzmione, bo téż w istocie te czarne djamenty, albo perły lekkoniebieskawe, wielkości orzecha włoskiego, są więcéj jak drogiemi klejnotami — one są piękne. Są to jedyne sale, w których czasem bywa wielki ścisk, bo coraz nowa publiczność napływa, a dawniejsza nie chce się usunąć. Na szczęście, że te panie oglądające tak chciwie, mogą się łatwo pocieszyć. Bo oto tuż obok znajdują się wszelkie imitacje klejnotów i wyrobów jubilerskich, emalje.... a tak wyborne, że chyba przysięgły znawca może się poznać na udaniu — a oczywiście, że cena tych wyrobów już nie na tysiące się oblicza. Celują też Francuzi w wszelkich wyrobach, gdzie idzie o to, aby obrobieniem i kształtem, czyli pracą i gustem, nadać przedmiotowi wartość. Przypatrzmy się np. zabawkom dla dzieci: Ot murzynek, który wygrywa na flecie, ptaszek, który skrzydłami trzepocze i śpiewa, myszy spacerujące.... a cóż dopiero salon lalek? To nie zwykle lalki, to ilustracje świata paryzkiego — typy, stroje, miny wszystko z życia, a gdyby umiały mówić tak, jak umieją się rozsiadać, to byłoby aż przyjemnie posłuchać ich. Tutaj, w tych drobiazgach można poznać wyższość francuzkiéj zręczności. Norymberga, Londyn mają do rozporządzenia ten sam kauczuk na figary, te same emalje na zęby, to samo szkło na oczy; lecz brakuje im sprytu w aranżowaniu i doskonałości szczegółów. To samo ruchomości francuzkie, meble, łóżka, biurka, zaćmiewają wszystkie inne. W sali zwierciadeł rozdają zajmującą broszurkę: „o stylu w wewnętrznem urządzeniu mieszkań“.

Wystawa krzyształów francuzkich, świeczników, kandelabrów, olśniewa blaskiem i tęczowemi kolorami; lecz zgrzeszono tutaj przeciwko sztuce i smakowi. Porobiono biusta i całe figury z kryszałów — takie przenaturzenie jest wstrętne. Jakżeż to dziwnie nieprzyjemnie wyglądają biusta, albo całe postacie ludzkie — przejrzyste. Nawet roślinność, to nieprzebrane źródło ornamentyki — kwiaty robią się ciężkie, liście grubieją, amorki, nimfy, pasterki, przez które światło przebija, wydają się jakby z lodu. Za to inne wyroby napełniające salę i zdobiące ją, robią ją podobną do djamentowych pałaców, z tysiąca i jednéj nocy; fontanny krzyształowe, przepyszne wazy, malowania na szkle, wszystko to rzeczy wzbudzające podziw. Niemniéj piękne są odlewy z bronzu; rysunek czysty, materja jednolita, a wszystkie muzea dostarczają przedmiotów tym fabrykom, które klasyczne wzory po kraju rozszerzają. Lecz aby podziwiać całą wspaniałość przemysłu ozdobnego, w którym sztuka sprzymierzyła się z przemysłem — trzeba oglądnąć wystawę porcelany i gobelinów. Kształtem, rysunkiem, barwą i materjałem przewyższyła porcelana sewrska wszystkie inne. Niezmordowana jest praca i czujność tych fabryk. Każdy nowy model, lub rysunek, niszczą zaraz po użyciu, żeby wyrób był jedyny w swoim rodzaju. Fantazja rysowników nie śmie się wyczerpać — takie hasło z góry przyjęte, utrzymuje te wyroby na wysokości niemal artystycznéj. A otoczone są te porcelanowe bogactwa ścianami z gobelinów. W istocie, chociaż napisy ostrzegają, chociaż się z góry wie, że gdzieś tuż jak z pod ziemi zjawi się *Sergent de ville* i oświadczy z nieprzebłaganą grzecznością: *„on est prié de ne pas toucher“*; jednak taka jest pokusa, że nie można przenieść na sobie, żeby się nie dotknąć i nie przekonać palcami, że te sceny historyczne, rodzajowe, te widoki, owoce, kwiaty, że to nie są olejne obrazy, ale tkaniny wełniane. Tutaj osiągnięto już kres doskonałości.

Z kolei następują wyroby rusznikarskie, nożownicze, zegarmistrzowskie, typograficzne — z tych najcelniejsze, nawet zbytkowe są: Don Quichotte, Dante i Biblja z ilustracjami Gustawa Dore! (Wtrącimy tu w nawiasie, że w oddziale pruskim napróżnośmy szukali Żupańskiego ilustrowanych wydań Grażyny, Walenroda, Maryi!) Pod koniec należy jeszcze wspomnieć mnóstwo narzędzi muzycznych, fortepianów, i tak zwane *tableau mobile*, za pomocą którego można z wielką oszczędnością czasu i trudu zapoznać początkujących z całą budową i odmianami gamy. Jeden pokój zastawiony jest zębami. Przepowiadają dentyście Preterowi, że stanie się ogólnym ideałem kobiet, chcących mieć piękny uśmiech; smakoszów, którym przywraca możność gryzienia smażonych migdałów; plotkarzy, którym obiecuje wiecznotrwałe szczęki. Pomijam bliższe sprawozdanie z działu medycznego, okazy preparatów itd. jako rzeczy specjalne, wymagające nie opisu, ale studjów. Wspomnę tylko o nowym wynalazku Dra. Jackowskiego, Polaka, bawiącego w Paryżu. Polega on na tém, że ciała umarłe przez długi czas w zupełnie zdrowym stanie utrzymuje, co do świeżości krwi, elastyczności mięśni itd. przez co studjom anatomicznym ogromna przysługa wyrządzoną zostaje. Wynalazek ten zyskał wielce pochlebne ocenienie i uznanie w naukowym świecie — a zdaje mi się, że żadne polskie pismo jeszcze o tém nie wspomniało. Z pomiędzy narzędzi ścisłych najciekawszym jest aritmometr, czyli maszyna do liczenia — wszelkie działania, ustawiwszy odnośne liczby, załatwia w mgnieniu oka za pokręceniem korbą; przy operacjach z dużemi liczbami, które zabierają mnóstwo czasu, stanie się to narzędzie niezbędném. Jest to kwintesencja komplikacyi i dowcipu. Z wyrobów drobniejszych wypada jeszcze zanotować peruki, ale nie z włosów, tylko z jedwabiu. Wyrób ten wcale przyjemny i niezrównanéj doskonałości, powinien zastąpić wszelkie fryzjerskie wyroby z włosów; przez to poło-

żoną zostanie tama handlowi włosami, który obecnie po wszystkich krajach grasuje i pozbawia ubogie dziewczęta najpiękniejszéj ozdoby, warkoczów.

Z kolei należy nam wymienić celniejsze wyroby innych krajów.

Belgja, to druga Francja — co do zwyczajów i przemysłu różni się od niéj tylko pewnemi specjalnościami. Obfite płody kopalniane, (piramida z surowego srebra), koronki, kominki, instrumenta, oto jéj główna siła. Przed brukselskiemi koronkami zatrzymuje się wprawdzie każda kobieta, jednak straciły one już swoją nadzwyczajną reputację. Niegdyś był to uprzywiljowany strój królewski — ale od owego czasu nastały liczne fabryki, nastały maszyny i ta ozdoba niegdyś wyłącznie arystokratyczna, zdemokratyzowała się zupełnie. Wyrób koronek odbywa się też dzisiaj w zupełnie inny sposób, a Rubens i Van Dyk nie poznaliby wcale, że to ten sam strój, który oni niegdyś podziwiali na szyjach księżnych, malując ich portrety. Kominki belgijskie odznaczają się oprócz wygody bujną fantastycznością ornamentyki, a jest to bardzo właściwe, gdyż odpowiada rozmarzonemu usposobieniu, w jakie się zwykle popada, zasiadłszy w karle, aby się grzać przy wieczornem ognisku. Mnóstwo widzów otacza zawsze zegar w oddziale belgijskim. Cała maszyna przedstawia wyspę Elbę, ląd i morze, na lewo port Cannes — a na prawo widok Paryża. Postument przedstawia pałac Napoleona I. na wyspie — na wieży siedzi orzeł z rozpostartemi skrzydłami i wydzwania godziny. Z uderzeniem pierwszéj, cesarz wychodzi z pałacu ze świtą i przechadza się po wyspie, potém wstępuje na wieżę, spogląda na brzegi morskie, a widząc, że nie są strzeżone, schodzi, aby z swojém wojskiem wsiąść na okręty. Za uderzeniem drugiéj, przepływa morze na trzech okrętach wojennych i ląduje w Cannes. O trzeciéj w Cannes wsiada na białego konia — za nim wojsko, artylerja, furgony; przebiegają ląd, a w końcu wkraczają do Paryża. Jest to dziwo mechanizmu, które może godnie stanąć obok sławnych zegarów w Pradze i Strasburgu — podobne zegary pokazujące całą historją biblijną, bywały i u nas dawniéj jak to opisuje Pol, w Pacholęciu Hetmańskiém.

Prusy zajmują najwięcéj miejsca po Francyi i Anglii — wielkie mają bogactwa kopalniane — grota solna, piramida z węgli — i przemysłu metalurgicznego. Wspaniały jest ołtarz dla wody kolońskiéj. Przed bogatą arkadą wznosi się fontanna z białego marmuru, z któréj bije bezustannie strumień tego pachnącego płynu, pozwalając widzom maczać chustki. Parfumiarze zastąpili dzisiaj książąt średniowiecznych, którzy wystawiali nieraz na miejscach publicznych fontanny wina. Jest jeszcze kilka pomniejszych fontan, a każda obstawiona stosami flaszeczek na sprzedaż.

Z Wirtembergu najwięcéj zajmujące są plany, rysunki i modele 46 szkół — oto największa potęga Niemiec. Baden nadesłało mnóstwo kukułek: są to zegary ścienne, wyrabiane w Czarnym-Lesie, a znajdzie je w domu każdego chłopa niemieckiego. Saksonja wyrabia głównie płótna wszelkiego rodzaju — porcelana saska lubo nierównie lepsza od pruskiéj, pozostała jednak daleko po za francuzką.

W wystawie austrjackiéj jest ten sam brak jedności, jak w jéj politycznym składzie. Dużo wysileń, zbytku; ale nie ma tu wcale piętna indywidualności i charakteru, który może być jedynie wynikiem wspólności idei i pracy u narodu. Wspomniałem już poprzednio o braku gustu, który bogactwem i jaskrawością zastąpić się nie da. Jedynie okazy czeskie mają swoje wyłączne piętno, zwłaszcza biżuterje, mnogie odmiany granatu, który jest strojem narodowym; kryształy w kształtach gotyckich i z pyszném kolorowaniem, którego sekretu dotąd gdzieindziéj do dziś dnia odgadnąć nie mogą. Zresztą wielką zaletą szkła czeskiego jest taniość. Uboga dziewczyna kładzie dziś swój bukiet z fijołków do szklanki, z jakiéj niegdyś tylko feudalni panowie reńskie wino pili. Najważniejszym atoli przemysłem wiedeńskim są wyroby piankowe. Rozchodzą się one po całym świecie — wytrzymują wszelką konkurencją i otrzymują pierwsze nagrody, tak dla piękności materjału, jak i doskonałości obrobienia. W głównéj firmie spotykamy tu nazwisko Polaka, Hessa. Już na poprzedniéj wystawie rozmawiał z nim cesarz francuzki o warunkach tego przemysłu i przyczynach, że w Francyi nie idzie — a na wystawie w Berlinie targował u niego król pruski cygarniczkę, ozdobioną rzeźbą — że mu się jednak za drogą się wydawała, wystawca przesłał ją królowi w prezencie.

Nie wspominam, jako o rzeczach ogólnie wiadomych, o kasach Wertheima i o zapałkach austryackich, którym żadne nie dorównują, a témmniéj francuskie. We Francyi jest bowiem pozwolony tylko jeden rodzaj zapałek: nie patyczki, ale polana na palec długie ze siarką — używanie ich ma podobno czyścić powietrze.

Ale cóż może więcéj zająć, jak widok narodu, którego klimat, formacja ziemi, naturalne granice ograniczają do pasterstwa i myśliwstwa, a który przez swoje niezłomne usiłowania, swoją wolę i energią zwyciężył wszystkie trudności przyrody i zdołał z miast swoich porobić ogniska przemysłu, handlu i postępu. I zkądże się bierze ta wytrwałość, która kraj ubogi, jałowy, mało zamieszkany zrobiła rywalem narodów potężnych i pozwala mu walczyć z korzyścią na targach międzynarodowych, przeciw protegowanéj konkurencyi, przeciw korzyściom klimatu, przeciwko zasobom ludności bogatych i licznych, przeciwko łatwości dróg i związków; zkąd jeżeli nie z owego płodnego źródła energii, pracy, inicjatywy, postępu, a które się zowie niepodległość.

Człowiek wolny, nie liczący tylko na własne siły, a mający za jedynych panów sumienie i ustawę — postępuje śmiało po drodze pożytecznych prac, które zarówno prywatnemu jak i ogólnemu interesowi sprzyjają. Wolność matką dobrobytu i postępu — oto widok, który przedstawia wystawa szwajcarska. Powrócimy do niéj, gdy rozpoczniemy wędrówkę po parku — tutaj wspomnę tylko, że przemysł szwajcarski cechuje ten sam zmysł praktyczny, pożytek, który jest podwaliną bogactwa Anglii. Koronki, bižuterje, emalje, wyroby snycerskie, w ogóle wszystko, przy czém się ceni pracę nie materjał — oto ich siła; zegarki genewskie sławne na cały świat; a pierwsze medale dostaje od kilku lat polska firma *Patek* w Genewie.

Hiszpańskie sale odznaczają się więcéj oryginalnością, piętnem narodowém, gorącém barw, jak produkcyjnością. Mają ładne meble, niezłą broń, bogate materje, gitary i wyborne manekiny kostiumowe.

„Garnek miodu, winogrona korynckie, trochę oliwy, trochę wina, trochę bawełny, trochę farby, garść fig, bryła marmuru i szafa z kostiumami“ — tak opisuje dowcipny Edmund About wystawę grecką. I rzeczywiście dodać do tego wykazu cytryny, gąbki, grube sukna, meble niesmaczne, i będzie koniec. Ale prawda, są jeszcze dwa przedmioty godne uwagi: najprzód sztylety, szpady damascenki i bogate ubiory albańskie — a potém piękne i szanowne dziedzictwo: ruiny starożytnych pomników, których wierne fotografie oglądamy.

Produkta Danii, Szwecyi, Norwegii, porcelany, meble itd. nie rywalizują wcale z szczęśliwszemi krajami, a świadczą jedynie o stanie cywilizacyi w tych zimnych a wolnych krajach. Najciekawsze są etnograficzne lalki w kostiumach. Laponka z fajką a dzieckiem na grzbiecie, inni na saniach, inni po lodzie. Tam, gdzie klimat jest tak surowy, istnieje okrycie, ale nie masz ubioru. Okrywają się przed mrozem, nie dla gustu. Ale stopniowo schodząc do łagodniejszych okolic kokieterja, miłość zbytku odzyskuje swoje prawa, ubiór staje się lekszy, kolorowy; a bose nogi przypominają nam nasze wsie.

Rosja celuje wyrobami ze skóry: zresztą nadesłała lalki, takie same, jak były na owéj wystawie w Petersburgu, okazy marmurów, malachitu, onyksu z Uralu i z Kaukazu, mozajkę, futra, a ustawiono téż piramidy samowarów, tego jedynego podobno wynalazku rosyjskiego.

(Ciąg d. n.)

TEATR. Po braterskiem przyjęciu i triumfach poznańskich, rozpoczął teatr nasz napowrót swoje przedstawienia. Artystów przybyło, repertoar wyzwolono zdaje się z wyłącznych ram komedyi francuzkiéj, a publiczność, jak dotąd, uczęszcza licznie, nawet na sztuki już w zeszłym roku dawane — są to wróżby jak najlepsze, dla obu stron pochlebne. — W naszych dwutygodniowych sprawozdaniach niepodobna nam nad każdém przedstawieniem się rozpisywać — owszem, wolimy rzeczy drobniejsze, albo już znane pomijać, ażeby przez to zyskać miejsce dla gruntowniejszego rozbioru ważniejszych pojawów i nowości. Obecnie mamy za sobą sześć wieczorów. Oprócz kilku jednoaktowych krotochwil i fars, dawano dwie znane już komedje polskie. Bogusławskiego „Opicka wojskowa“ nie kwalifikuje się już wcale na scenę z dwóch przyczyn: raz, że jest zanadto starokawalerska, grubo-dowcipna; powtóre, że prądy fałszywéj emancypacyi i romansowości pod wpływem Dumasa i Suego dawno już przebrzmiały, więc na tém przemijającém tle budowana komiczność, jest dzisiaj tylko nudną. W kom. téj wystąpił pierwszy raz p. St. Dobrzański, z teatru Stanisławowskiego, o którym nieraz bardzo pochlebnie gazety lwowskie pisały. Lecz rola porucznika Letkiewicza wymaga raczéj przyjęcia jednego tonu i postawy, aniżeli właściwéj gry. Z tego powodu, jakkolwiek p. D. umiał utrzymać się w roli, nie możemy jeszcze nic powiedzieć o jego talencie — ani o ruchach, ani o głosie, który nie wiemy, czy był naturalny, czy afektowany.

Sztuka Kraszewskiego „Panie Kochanku“, usuwa się od sądu krytycznego, gdyż autor uprzedza, że napisał ją tylko dla śmiechu. W istocie, trudno ją sądzić. Na obraz historyczny, jest traktowaną zanadto lekko; komedją dzisiejszą nie jest, bo ma malować ujemne strony społeczeństwa już zaginionego — jedynie więc śmieszność i mistrzowskie przedstawienie Radziwiłła, przez p. Rapackiego utrzymuje tę sztukę. Komedje Szekspira, Moliera, Fredry, dzieją się również nie dzisiaj, jednak motywa działania i charaktery są tam nie jednodniowe, ale prawdziwie ludzkie, tak, że możnaby te komedje przedstawiać w ubiorach dzisiejszych, a niby na prawdzie nic straciły. Tą ludzką prawdą tryska wyborna komedja Sardou: „Nasi najserdeczniejsi“. Tegoż autora — „Motylomania“ równie jest komiczną, lecz o wiele mniejszéj wartości artystycznéj. O obydwóch, lubo już znanych z zeszłego roku, pomówimy obszerniéj inną razą — dzisiaj bowiem czeka na nas jedna nowość: dramat Kraszewskiego: „Równy wojewodzie“. W tak ubogiéj literaturze dramatycznéj jak nasza, jest obowiązkiem i zasługą dyrekcyj teatrów przedstawić, bodaj raz, niemal każdą nowość. Tą razą wymagało tego już imię autora — chociaż sztuka oczekiwanie zawiodła.

W pięciu długich aktach rozwija autor na tle stosunków dawnéj Polski zużyty temat kolizyj, wynikających z nierówności społecznego stanowiska dwojga kochanków. Bronisław (p. Benda), jest księciem i bogatym, Anna (p. Hofman), ubogą szlachcianką. Serduszko Anusi rozpłonęło, ale ojciec jéj (p. Rapacki), daje wręcz rekuzę księciu, gdyż swaty podobne uważa za pańską łaskę, więc nie chce narażać szczęścia córki na niepewność niezwykłego losu, a nadto dotychczasowe życie księcia rozpustne i marnotrawne, nie daje mu żadnéj rękojmi i charakteru. Książę, który tą miłością czuł się oczyszczony i od niéj nowe życie chciał rozpocząć, widzi się odepchniętym — równocześnie traci cały majątek; kochanka jego, hrabina Eliza (p. Modrzejowska), rozwódka, która sobie układała bądź co bądź zostać jego żoną i przez to zdobyć niedwuznaczną pozycją w społeczeństwie, zwietrzywszy ruinę, wycofuje się; wszyscy domownicy umykają również, oglądając się, coby jeszcze urwać można. Książę przyjmuje ruinę obojętnie, wszystkie długi spłaca, jedynie rekuza boli go i upokarza, gdyż czuje jéj słuszność, że jest niegodnym Anny, więc zbrzydził sobie życie do reszty i zamyśla o samobójstwie Na szczęście jednak jest przy nim dobry duch, przyjaciel jego Sierociński (p. Ładnowski syn), który go przekonuje, że godniéj jest szukać śmierci naprzeciw wroga — wstępują więc obaj do wojska narodowego. Zdarza się potém, że szlachta gdzieś na kresach wyprawia festyn dla wojska narodowego, a zwłaszcza dowódzców: X. Józefa Poniatowskiego i jenerała Kościuszki. Otóż na tym festynie spotykają się znowu w

scy nasi znajomi i mnóstwo innych gości, dygnitarzy, dam itd. wszyscy przechodzą parami przez scenę, a jeden szlachcic objaśnia nam, kto czém jest — podobna scena, jak w znanéj farsie „Wiśliczanki". Zjawiają się więc i książę z swoim przyjacielem, jako rotmistrze, i hrabina, jako kochanka X. Józefa, a zjawia się téż i stary Obożny z swoją Andzią. Ażeby bowiem to spotkanie nastąpić mogło, umarł między aktami brat Obożnego, i zostawił mu ogromny majątek na kresach. Następuje więc zmiana ról. Obożny, który od jenerała Kościuszki dowiaduje się o dobréj konduicie księcia, radby mu dał teraz córkę, bo wie, że ona go kocha. Ale książę odmawia, chociaż ją także kocha, bo on obecnie ubogi, a ona miljonowa panna. A więc spotkanie na niczém spełzło. Ale w następnym akcie zdarza się znowu, że książe raniony leży w pewnéj gospodzie w Warszawie. — Odszukuje go tam hrabina, która tymczasem ani X. Józefa, ani jakiegoś kasztelana, ani posła rosyjskiego na długo przy sobie zatrzymać nie potrafiła. — Opuszczona, zamierza raz ostatni spróbować i usidlić jeszcze Bronisia chorego, któremu się jako siostra miłosierdzia ofiaruje; a czyni to w nadziei nowéj fortuny, jaka na niego ma spaść. Zdarza się téż, że do téj samej gospody zajeżdża Obożny z córką. Gospodarz, dawny marszałek księcia, a zausznik hrabiny (p. Henig), opowiada mu o blizkiém małżeństwie księcia z hrabiną, Obożny oburzony, Andzia mdleje, ale na szczęście, zjawia się znowu dobry duch — każe on Obożnemu słuchać za drzwiami (na serjo), a sam na scenie przyjaciela wyciąga na rozmowę, z któréj Obożny o stałości jego się przekonuje. Żeby więc raz skończyć sprawę, ofiaruje mu wprost rękę córki. Ale ona bogata, a on ubogi, więc płacze i odmawia. Obożny perswaduje mu, że mężczyzna nie ma prawa rozkochać pannę, a potém dla doktryn swoich wycofywać się — wyzywa go w końcu na ostre, nic to jednak nie pomaga. Aż nareszcie zdarza się, że jak niegdyś zmarł sobie brat Obożnego, tak teraz w samą porę przynoszą gazetę, że sobie zmarł stryjaszek księcia i zostawia mu miljony — więc oczywiście nastąpiło wesele. W taki sposób rozwiązuje autor trudności, że obojgu kochankom dostarcza poezyi i majątku. Może być, że to praktycznie, w żadnym razie jednak nie odpowiada założeniu, jakie sobie sam autor postawił, nadając sztuce tytuł, „równy wojewodzie". Całemu prowadzeniu sprawy zbywa zresztą zupełnie na warunkach dramatycznych. Kiedy hrabina plany swoje układa, które krzyżują się z szlachetnemi porywami księcia; kiedy koło niéj grupują się figury brudne, intryganckie — po drugiéj stronie występuje uczciwa prostota i praca; a chwiejny książę w pośrodku — początek ten wróży bardzo dobrze, i każe się spodziewać wielce zajmującego rozwinięcia. Ale ten szczęśliwy początek kończy się bezpowrotnie z pierwszym aktem. Widzieliśmy bowiem z podanéj treści, że w dalszym ciągu ustaje wszelka akcja dramatyczna, nie ma wcale działających osób, jedynie tylko przypadek rządzi; festyn, dwa przypadkowe spotkania, dwie śmierci, zbliżają osoby do siebie i roztrzygają rzecz; a w przerwach nawija się mnóstwo osób i scen ni ztąd, ni zowąd. Sztuka zatém nie ma żadnéj dramatycznéj wartości. Ma ona inne strony, które pokazują, że wyszła z pod pióra znakomitego autora. Nie umie on osób wprowadzić w ruch, w działanie, ale umie doskonale narysować ich charaktery, umie w pojedynczych scenach i djalogu odmalować ludzi i epokę, i nadać swojéj sztuce wartość obrazu obyczajów ówczesnych. Książę, rozpieszczony libertyn 18. wieku, o chwiejnéj woli, a miekkiem sercu; hrabina zimna kobieta i intrygantka w fryzowanéj peruce, nagli dorobkowicze — dygnitarze i *chevaliers d'industrie*, od których roiło się w Polsce za Stanisława Augusta, Obożny, surowy szlachcic, ubogi, a prawy i dumny; bracia szlachta szerdeczna, a pijacka; Andzia, szczéra, polska dziewczyna; wszystko to typy [...]czesne, wprawdzie nie nowe dla nas, bo się w powieściach [...]iemi ciągle spotykamy, niemniéj jednak wybornie narysowane. [...] artystów atoli są one żadne. Ponieważ nie ma tu rozwoju charakterów, nie ma akcyi — artysta może jedynie ucharakteryzować się odpowiednio i przedstawić się w pierwszéj scenie, w któréj występuje. Potem nie wie już, co z sobą robić, bo mu autor nic robić nie pozwala. Tak się też i stało. P. Rapacki i p. Hofman umieli z całą prawdą i artystycznem pojęciem przedstawić się w swoich rolach i pozyskać dla nich od razu sympatją publiczności. P. Benda mając nieco ruchliwszą rolę, pokazał widocznie, jak pracuje nad tém, żeby się pozbyć grobowego tonu i szlamazarności, dwóch wad, któremi sobie zwykł psuć patetyczne sceny. Winniśmy przytém jemu i p. Ładnowskiemu zwrócić uwagę, żeby się strzegli wyszrubowanéj deklamacyi, będącéj w modzie u francuzkich aktorów, przywykłych do klasycznych dramatów, które stoją na koturnowym wierszu. W poufnéj pogawędce rozmawiają ze sobą przyjaciele o najważniejszych nawet rzeczach tonem zwykłym, swobodnie i wolno. Trzeba więc iść za naturą, a zapomnieć, że się jest na scenie i przed publicznością. Mówiąc zawsze patetycznie, po bohatersku, nie starczy potém ani głosu, ani postawy, gdy ich właśnie w podnioślejszéj scenie potrzeba. W drugą, odwrotną niemal wadę popada p. Benda w komedjach (np. w Motylomanii). Chcąc mówić zanadto prędko, zająkuje się w połowie wyrazów, a nie łatwiejszego, jak pozbyć się téj przeszkody, za pomocą starego sposobu — czytać codzień z godzinę głośno, a pomału.

P. Modrzejowska w roli hrabiny, mającéj w sobie jeszcze najwięcéj żywiołu dramatycznego, okazała wielkie bogactwo i rozmaitość zasobów, któremi jéj talent rozporządza. W innych scenicznych utworach Kraszewskiego są postacie, jak Sołoducha, albo Panie Kochanku, które artysta może wypełnić, ożywić, i przez to sztukę całą utrzymać. Tutaj nie ma żadnéj takiéj postaci. Wprowadzenie na scenę wojska polskiego, sztandarów, sympatycznych imion, prawdziwy zresztą koloryt, uczyniłyby tę sztukę pożądaną na przedstawienia niedzielne, byle obciąć rozwlekłe gadaniny. I możnaby nareszcie przebaczyć znakomitemu powieścio-pisarzowi, że mu się podobało zabawić się w lichy dramat. Ale wprowadzając na scenę postacie takie jak Kościuszko, idealizowane przez cały naród — należy się dobrze zastanowić. Kazać Kościuszce na komplement odpowiadać wykrzyknikiem: „Tacy jak ja, muszą nieraz stać w przedpokoju", itd. dalibóg nie godzi się popełnić takiego nietaktu i wyrządzać takiéj krzywdy uczuciom publiczności. — *s*.

Dziś, tj. d. 15. b. m. wykonaném będzie w sali teatralnéj **oratorium** p. ***Guniewicza***, p. t. „**Niewola babilońska**". Dzienniki lwowskie z wielkiemi pochwałami wyraziły się o tym utworze, co również przyznają tutejsi znawcy, którzy mieli sposobność być na próbach. Niecierpliwie więc oczekujemy wieczoru, który nas ma zapoznać z tą klasyczną pracą pewni, że w jękach i tęsknicy ludu nad Eufratem, usłyszymy głosy własnych piersi i nie obce nam cierpienia i nadzieje.

P. Guniewicz dał się już po części poznać naszéj publiczności dwoma mniejszemi utworami muzycznemi, które orkiestra wykonała podczas piątkowego przedstawienia. Szczególniéj drugi zachwycił publiczność obrazowością i wyrazistością myśli. Polonez stanowi tu tło, jest to jakby wspomnienie szlacheckiéj przeszłości, które ginie wśród warczenia bębnów i huku armat. Z téj zawieruchy wojennéj co chwila usiłuje się dobyć na wierzch owa nieśmiertelna pieśń legionów: „Jeszcze Polska nie zginęła" — ale potężne, silne tony przygniatają ją — bezsilna cichnie — a natomiast odzywa się poważny chorał Jeremijego: „z Dymem pożarów" — prześlicznie instrumentowany.

Utwór ten, zrobił wrażenie na publiczności, i wskutek ciągłych hucznych oklasków, powtórzyć go musiano.

Zakład fotograficzny Walerego Rzewuskiego. Za plantacjami naprzeciw resursy niemieckiéj, w miejscu, gdzie dawniéj ciągnął się szary mur ogrodu, wznosi się dzisiaj ozdobny pałacyk. Może źle się wyraziłem mówiąc pałacyk. W naszych czasach z pojęciem pałacu łączy się rozkoszne używanie, słodkie *far niente* — a ten nowy zakład wzniół się przez pracę dla pracy. Pan Rzewuski włożył wszystkie swoje zasoby, zebrane kilkoletnią pracą, aby ozdobić miasto nasze zakładem, jakim nie każda stolica poszczycić się może. W urządzeniu tegoż nie poszedł za żadnym wzorem, to téż na każdym kroku robią oku miłą niespodziankę oryginalne pomysły nacechowane artystycznym smakiem. — Sztuka, elegancja i przemysł w piękną układają się tutaj harmonią, począwszy od klamki u bramy, a skończywszy na saméj pracowni. Przyznam się, że nie bardzo chciało mi się opuszczać tę pracownię, któréj jedna połowa przedstawia wspaniałe wnętrza salonów, a druga wdzięczne widoki lasów i krakowskich okolic. W pośrodku wznosi się skała — oryginalny pomysł — w pokoju skała z chodnikami, porosła w mchy i paprocie zacieniona drzewami i bluszczem; — u spodu szeleszczące wodotrysk, drobnemi kropelkami rosi paprocie rosnące nad wodą. W wodzie pluskają się złote rybki przy cichéj muzyce odzywającéj się z głębi groty. — Powiedzcie piękne Czytelniczki, czy to nie wygląda jak urywek z pięknych snów i marzeń waszych? — Ale nie koniec na tém. Przez duże szklanne drzwi wzrok pada na niewielki ogródek, pełen kwiatów i wdzięcznie ugrupowanych drzew — mający za tło stare rzeźby, piękne karjatydy i skały z martwicy. I tam widzisz drugi wodotrysk silnie bijący w górę i błyskający w słońcu promieniami tęczy. Do nóg kładą ci się zielone gazony pachnące rezedą, a ułożone w kształt herbu miasta Krakowa. Każdy kawałeczek miejsca umiano tutaj zużytkować na pożytek i piękno. Całą tę pracę mozolną nie dla zabawy tylko podjęto: ta sama woda, która przyjemnie bawi twoje oko w wodotrysku — ożywia kwiaty i idzie do ciemnéj pracowni fotografa na jego usługi; piękne widoki służą za tło fotografij, ozdobne szafki ukrywają sprężyny, z pomocą których fotografje odbywają tajemnicze wędrówki z introligatorni, umieszczonéj w suterenach, od góry piękne kolorowe okna są zarazem wystawą fotografij na szkle. Przyznam się, że prawie z dziecinną ciekawością oglądałem te wszystkie szczegóły; „Czas" krakowski opisał je dokładnie, dlatego nie powtarzam ich tutaj, zwłaszcza, że każda z osób fotografujących się, będzie miała sposobność oglądania tego własnemi oczami. Kończę więc tę krótką wzmiankę o zakładzie p. Rzewuskiego serdecznem życzeniem, aby takim usiłowaniom odpowiedziało powodzenie.

m.

Patti w Galicyi. — Minęły czasy tryumfatorów rzymskich, czyny ich przekazano pamięci uczniów gymnazjalnych, a rydwany dostały się do cyrków i muzeów. Dziś zamiast rydwanów, koleje żelazne wożą po świecie nowych bohaterów i artystów; gazety i afisze — to wieńce ich sławy, a wyrazem hołdu dla nich, publiczności pieniądze. W takim tryumfie przeciągnęła przez naszą mizerną Galicją panna Patti; a raczéj jéj garełko, zakupione na jakiś czas przez nowoczesnego mecenasa p. Uhlmana. Kraków, Lwów, Czerniowce przyklaskiwały temu meteorowi wokalnemu, nauczyciele muzyki musieli jakiś czas odpowiadać swoim uczennicom i ich mamom: co sądzą o śpiewie panny Patti? — Panienki mające jakie-takie pretensje do śpiewu i dobrego głosu, zapomniały na czas jakiś o „czarnéj sukience" i innych łzawych piosenkach i siliły się przy fortepianach na sparodjowanie śmiechu p. Patti, nawet muzyki wojskowe wpadły w ten szał naśladowania a raczéj przedrzeźniania, (bo naśladowanie stało się niepodobieństwem) — zgoła przez kilka dni wszyscy zachorowali na pannę Patti, i gdyby doktorzy nie zarzucili byli starodawnego zwyczaju oglądania języków, to pewny jestem, że przy tego rodzaju diagnozie każdy znalazłby u swoich pacientów i pacientek pannę Patti na języku. Dziś ta gorączka przeszła, burza oklasków ucichła, ów śmiech, co tak bawił uszy, przebrzmiał, i nie zostało nic w pamięci ani w duszy, prócz czczego zadowolenia, że się słyszało pannę Patti. — Nie wchodzimy w ocenienie jéj śpiewu, nie rozstrzygamy wątpliwości, nad którą męczyło się wielu, czy sławna śpiewaczka zawdzięcza swoje tryumfy naturze czy szkole — zagraniczne i nasze dzienniki dosyć napisały o prześlicznem *staccato* i innych zaletach jéj śpiewu; poprzestajemy tylko na charakterystycznem wyrażeniu jednego z młodych muzyków, który powiedział: „zamiast garełka, jakiem cieszą się inni śmiertelnicy, panna Patti ma tam wprawioną harmonikę". — Przyznać musimy, że byliśmy także zachwyceni prześlicznemi, delikatnemi i dźwięcznemi tonami téj harmoniki; ale kiedy czar minął i trzeźwo zapytujemy siebie, czy w tym śpiewie była sztuka czy sztuczka — odpowiedź niestety musi wypaść na to drugie. Że nasza publiczność bardzo często przenosi sztuczki nad sztuki, dowodem tego nietylko przepełnione koncerta panny Patti, w których sztuczka ma zawsze artystyczny charakter, mieliśmy podobny przykład na przedstawieniach niefortunnego magika p. Epsteina, który swoje oszukaństwa (jak je sam nazwał), miał przyjemność pokazywać w sali natłoczonéj widzami, podczas gdy przedstawienia wyborowych sztuk dramatycznych odbywają się nieraz przed pustemi ławkami. Smutne to świadectwo naszego smaku i wykształcenia estetycznego, — a choć widocznie teraz ten smak się poprawia i uszlachetnia, to jeszcze daleko mu do tego, abyśmy z zadowoleniem milczeć mogli. Dopiero przy przedstawieniach sztuczek dowiadywać się musimy, że publiczność nasza skarżąca się na ciężkie czasy — ma jeszcze pieniądze, tylko nie umie ich znaleść na przedstawienia, w których dusza skorzystać coś może.

Stowarzyszenie drukarzy we Lwowie wydało swoim nakładem „Patti-Polka" — na fortepian, przez *F. Tymolskiego.* Dochód z rozprzedaży przeznaczony jest na rzecz funduszu stowarzyszenia, a szczegółowo na wsparcia dla wdów i sierót. I utwór i cel przemawiają dostatecznie za sobą. Prenumeratorowie nasi mogą zapisać przez nasze biuro — cena jednego egz. 40. c.

Na wzór podobnego rodzaju publikacyj zagranicznych wydaje w Warszawie p. *Wiślicki* „Biblioteczkę kolei żelaznych w małych książeczkach, po 1 złp. Dotąd wyszły: „Aspazja", studjum przez *Jana Scherra;* „Co się stało w małém miasteczku", przez *Edwarda Lubowskiego*; „Igła i pióro", powiastka z urzędniczego świata — przez *Władysława S.;* „Meszty Abu-Kazema", komedyjka do grania dla dzieci, przez *Wł. Anczyca;* „Mąż z rezerwy", *F. Jeża;* „Córka rzemieślnika", przez *Adama Wiślikiego.*

Wyszedł już tradycyjny kalendarz *J. Czecha*, na rok 1868. Oprócz zwykłéj treści zawiera jeszcze tą razą: kalendarz historyczny polski, na każdy dzień w roku.

Korespondencja „Kaliny“.

P. ***E. G.*** Uczucia wiele, ale wierszyk słaby, a myśl wcale nie nowa. „O sierotach na grobie“ tyłu już pisało.

Pani ***A. H.*** w **Sn.** Artykulik pani z zadowolnieniem i przyjemnością odczytaliśmy i jedynie dlatego wstrzymaliśmy się od umieszczenia, że w artykule wstępnym tego numeru Redakcja téj saméj kwestyi dotyka. — Prosimy o inne prace i łaskawą pamięć.

Panu ***G.*** w **Czer.** Z wierszyków pańskich dwa będą umieszczone w najbliższych numerach „Kaliny“.

Pani ***B. W.*** Powieść za obszerna na ramy naszego pisma; jeżeli pani ma w tece swojéj mniejszą i z wybitniejszą tendencją — prosimy o łaskawe nadesłanie.

M. N. Oryginalnych polskich nie ma, z przekładów możemy polecić: „Pomoc własna“, (Self Hep) Smilesa, wydane w Warszawie — i Laboullaya: „Paryż w Ameryce“, wydane we Lwowie.

N. O. Z. Lwów. — Szkoda czasu.

R. w **S.** Nic odebraliśmy dotąd wcale.

A. M. Powtarzamy dzisiaj ogłoszenie o kompletach, nutach i bibliotece.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.